

Ryży

26 grudnia 2009



Dziś jak
czytam, że dzieci 12-13-letnie w domach poprawczych siedzą z
20-letnimi recydywistami ręce mi opadają. Płacimy urzędnikom
za tępotę i bezmyślność. Podwójnie.

Lipiec 1969 rok. Radość i satysfakcja. Indeks mój. Do
szczęścia brakuje jeszcze trochę grosza. Miałem jechać na
żagle. Nic z tego. Nie wystarczy. Ojciec zmarł kilka lat temu,
a mama co roku dorabia do skromnej renty wyjeżdżając na
kolonie dla dzieci. Była intendentką lub magazynierem. Szukam
pracy, tak aby coś zarobić. Dostaję list od rodzicielki.
Starszy pan – „złota rączka” poważnie się rozchorował, mogę
przyjechać i zarobić. Byle szybko. Autobus i jestem w K... na
Podbeskidziu. Gmach wiejskiej szkoły dosyć okazały.
Konserwator – tak brzmiało stanowisko na pierwszej mojej
umowie o pracę.

Pensyjka niewielka, ale wyżywienie i malutki pokoik. Najgorzej
było rano, po czwartej mleczarz przywoził mleko, które

tachałem do kuchni, paliłem w piecach, nosiłem węgiel, naprawiałem klamkę, wymieniałem żarówkę. Roboty niewiele, czasami sam szukałem sobie zajęcia. Trwało to z tydzień. Potem nastąpiła zmiana turnusu. Z kilku autobusów wysypało się mnóstwo dzieciarni płci obojga i dwa zjawiska. Jedno czarnowłose, drugie blond. Czarna była nową higienistką – studentką medycyny, a blondynka, świeżo upieczoną nauczycielką po liceum pedagogicznym. Obie zwracały na siebie uwagę. Nie tylko moją. Kierowniczką była zażywna i energiczna pani nauczycielka w średnim wieku, a zastępcą i wychowawcą jednej z grup jej mąż. Ponoć taki mieli zwyczaj spędzania urlopu od wielu lat. Dzieciaki nie zdążyły za bardzo się rozpakować, gdy w etaty placówki kolonijnej uderzył kolejny piorun. W hucie gdzie pracował mąż kierowniczki awarii uległ piec i huta upomniała się o swego pracownika i jego kwalifikacje ze skutkiem natychmiastowym.

Po gorącej dyskusji i kilku telefonach zdecydowano, że pojadę do kuratorium oświaty, po egzaminie dostanę zaświadczenie o przygotowaniu pedagogicznym i zostanę wychowawcą, natomiast dotychczasowy wróci do wyuczonego zawodu inżyniera metalurga i uratuje hutę od kłopotu. Pojechałem, odpowiedziałem na trzy pytania (do tej pory nie wiem, czy dobrze), dostałem odpowiednie zaświadczenie. Cała akcja była pełna improwizacji, ale działano w imię wyższej konieczności.

Na nowe stanowisko pracy dotarłem na drugi dzień przed obiadem. Awans był iście społeczny – pieniądze mniej więcej takie same. Pani kierowniczka przedstawiła mnie grupie 9-10-latków, na odchodne rzuciła, że mam w grupie gagatka z rodziny patologicznej, ale w razie kłopotów służy swym doświadczeniem i pomocą. Grupa toczyła ostre spory o przydzielone im szafki (ręcznik, mydło itd). Poleciałem im przykleić karteczki z podpisem, aby raz na zawsze położyć kres awanturom. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Do obiadu niespełna godzina. Akurat będą mieć zajęcia. Po pewnym czasie wrzask, płacz – „Ryży mnie uderzył.” – „Mnie wczoraj też – dwa razy.”

– Głupi Ryży, ma wszy i bije dzieci, łysek. Za jedną z szafek stał sprawca. Ogolony na zero, wyższy o głowę od innych, chudy, patykowaty. Na oko ze dwa, trzy lata starszy. Z zaciśniętymi pięściami, wargami. Stał i patrzył spode łba. – „no co ku... , niech nie podskakuje.” Udało mi się jakoś załagodzić sprawę. Sprawdziłem podpisy. Miecio Tomanek, Adaś Mitwa, Jurek, no dobra podpisane. Gdzie twoja zagadnąłem agresora, chciałem wiedzieć jak się nazywa. Pokazał paluchem. Na kartce duże kulfony – „to je moja”. Przynajmniej oryginalnie. Obserwowałem go podczas obiadu. Trzymał się z dala, ale jadł szybko, łapczywie i za dwóch. Zgodnie z regulaminem młodsze grupy po obiedzie musiały leżakować. Ryży zniknął. Miałem iście biblijny dylemat. Zostawić owieczki i szukać zagubionej, czy zostać przy swoim stadku. Poszukałem i znalazłem – siedział w stogu siana na pobliskiej łące i... palił papierosa. Nawet nie próbował go schować. Dowiedziałem się, że nie będzie spał, bo nie ma dwóch lat, nie prosił się na te pierdo... kolonie i w ogóle to w dupie ma takie wczasy. Zabrałem mu papierosy, zapałki i zostawiłem w stogu. Pojawił się na kolacji. Pół nocy nie przespałem. Obmyślałem plan działania. Zacząłem żałować mleczarza, węgla, miotły. Odwrotu już nie było, starszy panoczek ze wsi zamiatał, nosił węgiel i przekomarzał się z kucharkami. Co to jest ta rodzina patologiczna. Słownik wyrazów obcych. No wszystko jasne.

Myślałem, myślałem i wymyśliłem. Kolejne leżakowanie. Ryży dostał czytanekę. Miał głośno czytać. Sylabilizował, niemiłosiernie. Ślinił palce, mrużył oczy, ranił swój i mój organ słuchu. Rzucił książką i oznajmił, że to pie..li. On się w szkole dosyć naczyta. Musiałem dorzucić coś niecoś do tych negocjacji. Oznajmiłem grupie, że Genek zostanie grupowym. Przyjęli to spokojnie, ale bez entuzjazmu. Zabrałem jednak Ryżego na bok i oznajmiłem: – „jesteś moim zastępcą. Szefem grupy. Masz im pomagać, bo są od ciebie młodszy, słabszy i głupszy, ale jak dowiem się, że któregoś uderzyłeś, że klniesz, to idziesz do innej grupy, albo do domu. I jeszcze jedno – oni nie wiedzą, że nie umiesz czytać, ale pomyśl co będzie jak się

dowiedzą. „Był tak zdezorientowany, że stał i milczał. Nie musiałem już pilnować czytania. Musiałem zmienić mu tylko elementarz na „Winnetou”. Nie rozstawał się z tym egzemplarzem do końca turnusu. Od tej pory był jak mieszaniec psa pasterskiego i myśliwskiego. Czułny, troskliwy niczym starszy brat. Najgorzej z przekleństwami, zdarzało mu się chlapnąć, ale szybko poprawiał się, przeproszał. Podczas któregoś „leżakowania” jak zwykle czytał, zaczął na głos i było całkiem nieźle, nie odbiegał od średniej w grupie. Miałem satysfakcję, nauczyłem go (sam się nauczył) więcej niż szkoła przez kilka lat. Przynajmniej czytać.

Chłopcy licytowali się kto kim zostanie – jeden lotnikiem , inny strażakiem, kosmonautów było z pięciu. Ryży chciał być piekarzem. Piekarzem? Głupi – czemu piekarzem? – Bo piekarz nigdy nie jest głodny. Gienek wiedział co mówi. Pewnego dnia pękł – nigdy go nie wypytywałem o rodzinę. O matkę, ojca, braci i siostry. Sam zaczął. Mówił bez emocji: jak kradł z kolegami, jak pił gorzałę, jak mama i siostry uprawiają seks, z kim, za ile, za flaszkę, jak okradają klientów, o mordobiciu, krwi, wyzwiskach, milicji, więzieniu. Matka – tak kiedyś gotowała, teraz patrzy gdzie jakie piwo wychlać. Z ojcem czasem chodził na ryby, albo na mecze, ale jak trzeźwy. Jak pijany to zawsze mnie leje. Wszyscy czorni, a ty ryży skurwielu, puściła się ta k... z jakimś rudym. No to uciekał jak ojciec pijany do gołębnika. Tam był w miarę bezpieczny. A ja to bym tacie... wszystko.” – rozbeczał się. Była to relacja starego, doświadczonego faceta opowiadana ustami dziecka. Słuchałem i nic nie potrafiłem powiedzieć. Rodzina patologiczna. Przeczytałem w słowniku. Jaki byłem mądrała. Ja znałem definicję Kopalińskiego, on nie wiedział, co to jest definicja. Ja gównie wiedziałem o rodzinie patologicznej – on wiedział co to jest rodzina patologiczna. Brudami mógł obdarować niejedno dorosłe życie. Dostałem lekcję pokory, którą zapamiętam do końca życia.

Turnus się skończył. W Katowicach obok dworca rodzice

odbierali swoje pociechy. Po Gienia przyszedł brat. Nie chciał wracać, uczeplił się mojej ręki i chciał, abym go zabrał ze sobą. Trwało to kilka minut. Nikomu nie życzę czegoś takiego. To była kolejna lekcja – lekcja bezsilności. To wszystko mnie przerosło, zawsze miałem poczucie winy, że nie zrobiłem czegoś, co zrobić powinienem. Nie potrafię nawet zdefiniować czego, nie mówiąc jak. Po około trzydziestu latach wpadły mi zdjęcia z tamtego okresu. Na jednym z nich Ryży – uśmiechnięty od ucha do ucha. Na odwrocie: Gieniek Gawron Sosnowiec Ceglana 5/7. Napisał mi adres, a ja obiecałem, że go odwiedzę. Tej obietnicy nigdy nie dotrzymałem. Byłem pewnej jesieni w Sosnowcu w zupełnie innej sprawie. Sprawdziłem na mapie. Ceglana. Pojechałem, wysiadłem z auta i pytam przechodnia. – „Ceglana – o tam przez ten skwerek, potem prosto z 300 metrów i będzie Ceglana. Przeszedłem ze sto metrów i zatrzymała mnie tablica „Zakład Piekarski Eugeniusz Gawron Wypieki bez konserwantów.” Kawałek dalej przy rowerze stał rudowłosy chłopak na oko dwanaście , trzynaście lat. Przechodząca kobieta ofuknęła go „Ojcu powiem, tak zimno, a ty lody żresz”. Podszedłem do niego i zapytałem czy piekarz to jego ojciec. – Skąd pan wie” zapytał nieufnie i schował łoda za siebie. Nie dociekałem dalej niczego. Wróciłem do domu.

Dziś jak czytam, że dzieci 12-13-letnie w domach poprawczych siedzą z 20-letnimi recydywistami ręce mi opadają. Płacimy urzędnikom za tępotę i bezmyślność. I to płacimy podwójnie. Przecież tymi zakładami zarządzają ludzie z wyższym wykształceniem. Skróty ich tytułów naukowych są czasem dłuższe niż ich imię i nazwisko. Odnoszę wrażenie, że nauczyli się regułek , definicji, okrągłych i poprawnych zdań, porobili doktoraty, tylko nic z tego nie zrozumieli. Przykładem pani Ewa Sowińska dla której ważniejszy był kolor torby Tinky Winky, czy sugestie całowania na okładkach zeszytów, niż prawdziwe dobro dziecka. Spore możliwości działania z urzędu spowodowane do poziomu absurdu. Wiem czym jest patologia rodziny, teraz obserwuję patologię władzy. A czasem wystarczy tak niewiele.

Autor: Hamilton Starszy

Zdjęcie: Flickr

Źródło: [iThink](#)

PS. Imiona, nazwiska, miejscowości są zmienione – tylko opowieść – choć smutna – prawdziwa.